



ALFRED

MAREK

WIERZBICKI

AUTOPORTRET Z MIASTEM

Wybór wierszy

POECI
LUBLINA

MIASTO



POEZJI



2013

Lublin


ALFRED

MAREK

WIERZBICKI

AUTOPORTRET Z MIASTEM

Wybór wierszy



**Ośrodek
„Brama Grodzka – Teatr NN”
www.teatrnn.pl**

ul. Grodzka 21
20-112 Lublin
Tel. (0-81) 532 58 67

Lublin 2013



SPIS TREŚCI

- 6 Pracowity dzień
 - 7 Podróż do Czarnolasu
 - 8 Próba życiorysu
 - 9 Inicjacja
 - 10 Pierwszy dzień
 - 11 Spotkanie
 - 12 Krótki komentarz do Ewangelii św. Jana
 - 13 Pełnia
 - 14 W tym samym miejscu
 - 15 Eli i Jarkowi
 - 16 Spacer w Chur
 - 17 Po deszczu
 - 18 Rzeka
 - 19 Szukanie wyjścia
 - 20 Szczęśliwe pokolenie
 - 21 Fotografia rodzinna
 - 22 Pociągi
 - 23 Domostwo
 - 24 Synagoga w Łęcznej
 - 25 Inna wiedza
 - 26 Próba interpretacji snu
 - 27 Tatarzy
 - 28 Do Sachy Pecarica
 - 29 W Bramie Grodzkiej
 - 30 Zaulek Władka Panasa
 - 31 Do Anny Kamieńskiej
 - 33 Dobry człowiek
 - 34 Mistrzowie
 - 35 *** 5 marca 2001
 - 36 Okruchy
 - 37 Zaraz potem
 - 38 Portret mamy
 - 39 *** Przed wschodem słońca
 - 40 Oktoberfest
 - 42 Oczyszczenie
 - 43 *** Świat za oknem
 - 44 Kartografia oniryczna
- Sławomir Jacek Żurek

AUTOPORTRET Z MIASTEM



1992

6

PRACOWITY DZIEŃ

Może pragnąłem ćwiczyć styl, a może charakter.

W ciągu zimowego dnia układałem zdanie,

za temat mając ośnieżone dachy,

sople na gzymsach i kino słońca na murze.

Aż dopadła mnie noc z czarną ospą na śniegu.

Będę szczery, bez konkluzji pozostawiam dzień i zdanie.

1990

7

PODRÓŻ DO CZARNOLASU

Śniła mi się wycieczka do Czarnolasu.
Jaka różnica we śnie czy na jawie oglądać
mapy dawnych podróży. Jednoczyły się
przestrzenie, powracał czas. Radosny byłem,
jakbym z Innsbrucku jechał do Werony.
Dolomity różowe o świcie. Pieszczotliwie
dotykałem sprzętów. Matowiał fotel
z kurdybanu. Nikt nie odwracał klepsydry.
Było mi żal, że we śnie tak swobodnym
nie zobaczyłem więcej niż na jawie.

1982

8

PRÓBA ŻYCIORYSU

Urodziłem się, gdy nie obeschła jeszcze krew odciętych
rąk za wzniesienie ich przeciw ludowej władzy.

W grudniu strzelano do robotników.

W szkole opowiadano o okrucieństwie wojny w Wietnamie,
pustoszone napalmem ziemia, jankesi gwałcą kobiety.

Uczono współczucia dla sierot w Indochinach.

Potem był jeszcze jeden grudzień,

kiedy strzelano. Powinienem być się przyzwyczaić.

I czerwień kwiatów, wschodów i zachodów słońca
nie powinna przywoływać ich krwi.

INICJACJA

Nie chcieliśmy jasełek. Młodzi,
więc nieustępliwi, za niestosowną
uznaliśmy tak liryczną formę.
Nawet król Herod nie mógł być
dość okrutny. Graliśmy scenę
więzienną z *Dziadów*. Ich, filomatów,
i nasza sprawa miały być jedną.
Spektaklem były już próby,
stawaliśmy się kimś innym i sobą,
tym bogatsi, że wolni o wybór.
Była szczęściem taka inicjacja,
Szekspir byłby z nas dumny.

Gramy, niejednoznaczna kreacja,
w której stawką jest wszystko,
fiasco, realność przegranej
nieodłącznym cieniem.
Kiedyś raz jeszcze
wolno nam będzie wystąpić
od początku i ostatecznie.

PIERWSZY DZIEŃ

Kolczaste kasztany leżały przed bramą.

Mój pierwszy dzień w seminarium.

Ponad wszelką miarę długie korytarze,

zamglone lustro w łazience.

Wiele lat temu, ale widzę wyraźnie.

Było to jak zakochanie, tajemniczy szyfr,

zagadka na całe życie.

SPOTKANIE

Powołani, czy wiedzieliśmy, czym będzie powołanie?
Młodzi chłopcy za murem na wzgórzu
czytaliśmy Miłosza i *Redemptor hominis*.
Uczyliśmy się obcych słów i liturgii.
Dość wiele i za mało.

Wyruszaliśmy w podróż.
Wszędzie u siebie i wszędzie bezdomni.

I znowu pod wspólnym dachem,
to znaczy w gościnie w Monachium u Ciebie.
Posiłki i praca. Zamiast wierszy
piszesz książkę o poecie.
Ku odległej ziemi uczony tekst płynie
jak statek załadowany cenną materią komentarzy
i przypisów. Precjoza przekładów.
Prawda, zajęcie nie mniej dziwne
od akrobacji kuglarzy w złotych szminkach na rynku.
Obok huczy targowisko z bielizną,
kelner niesie naręczą spienionych kufli.

Tacy sami i inni. Wizjonerzy podziemnych rzek,
płynących głębiej niż posadzki miasta,
kiedy indziej przewodnicy widoków z góry.
Usta sine od chłodu albo wyczerpującego
powtarzania pierwszych pytań i błogostawieństw.

KRÓTKI KOMENTARZ DO EWANGELII ŚW. JANA

Nie było mnie w Kanie Galilejskiej.
Nie próbowałem wina spragnionymi ustami.

W niedzielę mego dzieciństwa opowieść przeczytał
ksiądz Franciszek Jakubczyk głosem niewyraźnym
jak szelest ewangeliarza.

Przed pierwszą komunią pytał mnie z tabliczki mnożenia,
bo nie radziłem sobie z formułami katechizmu.

Potem była udręka buntu.

A potem powrót do źródła,
stawałem się uczniem, woda przemieniała się w wino.

Ogłosili, że chrześcijaństwo już się wyczerpało.

Ile trzeba wiary, aby nie wierzyć.

Podziw dla mistrzów stojących na progu
ośnionych jak Havel i Kołakowski.

*Nie wiem, czy wiem, czym jest cud,
ale wiem, że to, na co patrzę, jest cudem.*

Chrześcijaństwo będzie trwać, dopóki będą męczennicy.

PEŁNIA

W ciemnym ogrodzie
gdzie ani jednej gwiazdy
trzymam w ręku pełnię różańca

Tak wielka i tak mała odległość
pomiędzy kulkami z oliwkowego drewna
a dzieciństwem i krwawym potem

2008

14

W TYM SAMYM MIEJSCU

Słuchałem wykładów, a teraz je wygłaszam
i jestem wciąż w tym samym miejscu.
Wraz z Glaukonem nie mogę pojąć,
dlaczego cierpi człowiek sprawiedliwy.

ELI I JARKOWI

Spotykaliśmy się, kiedy koszone trawę,
pachniały lipy, a na liściach pszczoły
zbierające spadź. Albo kiedy u nóg czerwone
liście klonu i żółędzie odmieniały porządek
lasu. Czytaliśmy przy herbacie pachnącej
cytryną. Wychodziliśmy na spacer, by myśli
i uczucia stawały się częścią krajobrazu,
konkretne i ulotne jak powietrze, obłoki
i liście. Wy dwoje i ja, dla was dom,
a dla mnie podróż. Spotkaliśmy się
w przyjaźni, na przecięciu stałego
i zmiennego. W nadziei przestronnej jak pola
na wiosnę.

*A jeśli nawet nie to, to i tak
będę udawał
sam przed sobą, że jest środkiem świata
każde moje ubocze.
Stanisław Barańczak*

SPACER W CHUR

Ani to moje ubocze, ani stacja docelowa,
miasto jedno z wielu. Idę w bezimiennej
ciszy i wspominam spacery w Lublinie.
Wieczór jakby mnie nie było,
tylko to, co wokół. Idę aż pod czoło góry
z księżycem przy uchu i nagle chcę mówić.
A jeśli słowa niemożliwe, niech będzie
słyszane milczenie.

1985

17

PO DESZCZU

jaka ulga po deszczu
życie jak prąd
przeszło przez miasto
w którym wiosna
odkrywa starość i brud

RZEKA

Gniewne smoki słońca w oknach,
na pokruszonym gzymisie gołąb
z listkiem lebiody.

Trolejbusy, żyrafy. Mężczyźni
i kobiety z siatkami i torbami,
tyle niosą, mogą przenieść cały świat,
ale dokąd?

Skręcam nad rzekę.
Zbyt płytka i nie kusi samobójców,
nie odbija wspaniałości ze wzgórza,
płyynie obok.

SZUKANIE WYJŚCIA

Schodziłem ku Bystrzycy
w bramach stali młodzi mężczyźni
wyglądali staro ogorzali przepoceni
w lichym ubraniu i zniszczonych butach
w jednej ręce butelka piwa w drugiej papieros
milczenie lub bluzgi
żadne zdanie się nie kleiło
Kobiety były zajęte gotowaniem obiadu
przez otwarte okna dochodził
zapach smażonej cebuli i botwinki
Niedaleko na placu dziecko nawoływało
– będziemy bawić się w chowanego
a drugie – nie w berka
Zawsze się znajdzie jakieś inne wyjście

SZCZĘŚLIWE POKOLENIE

Na imieninach Wiesława
śpiewano piosenki biesiadne,
bogoojczyźniane,
ludowe i te najbardziej swawolne.
Od czasu do czasu ktoś próbował coś powie-
dzieć.
Na przykład: jesteśmy szczęśliwym pokole-
niem,
mój ojciec brał udział w trzech wojnach –
Urodzeni za Stalina, w latach studenckich
chodzili na rajdy i wiece,
później z robotnikami wznosili palce
na kształt litery „V”,
na nich spełniało się
przesłanie Herberta.
Z przyjęcia wychodzili parami,
w grupie i osobno,
prosto w jaśminową noc.
Zostałem w pustym ogrodzie
z resztką wina i niedocieczoną myślą,
nasłuchując śpiewów podobnych do nas ludzi
za sto i za dwieście lat –

FOTOGRAFIA RODZINNA

Nie ma kogo zapytać,
z jakiej okazji została zrobiona.
Mój ojciec miał najwyżej dziesięć lat,
było to w latach trzydziestych tamtego wieku,
który wciąż był podobny do wieku dziewiętnastego.

Pradziadek Ignacy Horodecki,
ostatni ziemianin w rodzinie,
kresowy patriarcha, otoczony wnukami.
Zebrało się ich dwadzieścia pięcioro.
W tle brzoszowy zagajnik,
a poza tłem już czai się
to wszystko, czego nie można było
ani wyobrazić, ani odpędzić.

Wykonała ją Żydówka z Wilejki.
To zdjęcie
jest śladem jej istnienia.
Nikt z jej rodziny nie przeżył
i nie wiadomo, jak miała na imię.

Gdy kończyła się wojna,
dziadka Hieronima i jego kuzynów
Soweci wywieźli do łagrów na śmierć.
Wszystkie dzieci z rodzinnej fotografii,
było ich dwadzieścia pięcioro,
otworzyły powojenne rachunki z życiem.

POCIĄGI

Przeczytałem wiersz Różewicza o pociągu,
który w końcu zamienia się w pomnik.

Nie pamiętam takich pociągów,
a jednak coś mnie niepokoi.

We śnie jadę donikąd,
bez biletu, lub szukam zagubionego bagażu
bez nazwiska i adresu.

Nie umiem myśleć o tym, czego nie pamiętam,
więc chyba coś pamiętam, bo myślę o pociągu,
którym dziadek Hieronim został wywieziony do łag-
rów.

Był w moim wieku. Obliczam, było to 57 lat temu.

W lutym 1945 roku jego żona Urszula
wysiadła z wagonu repatriantów na dworcu w Lu-
blinie.

W tym samym czasie buchający parą pociąg
po szynach iskrzących w śniegu, cóż za widok,
wiózł Hieronima w odwrotnym kierunku,
do miejsca przeznaczenia
znajdującego się poza granicą wszystkich granic.

DOMOSTWO

Nie mogłem pojąć, kto mnie ostrzegał
głosem umarłych, piskiem kobiet
i wrzawą żołnierzy. Bagnety
utkwily mi w twarzy. Obudzony
nie wiedziałem, kim jestem.
Pradziadkiem Romualdem ze starego portretu,
który Sowieci przedziurawili w 1944?
A może ofiarą niewypowiedzianej wojny?

Jadą w bydlęcych wagonach z ojczyzny
do ojczyzny. Wiozą skrzynki
z żywnością, pościel i dzieci,
ale nie jest to podróż. Mnie jeszcze nie ma
i nie wiem, że w Bośni będą z domów wyrzucać
rodziny, że pół miliona ludzi z plemienia Hutu
wymordowanych zostanie przez plemię Tutsi
i pół miliona Tutsi przez Hutu.
Pociąg zatrzymuje się na stacji,
do zardzewiałych wiader nalewają wody
i wietrzą zbutwiałe sienniki.
Chłopcy bawią się w wojnę,
dziewczynki tulą lalki.
Któż by powiedział, że w ich duszach
i w duszach ich potomstwa
zło założy kiedykolwiek upiorne domostwo.

SYNAGOGA W ŁĘCZNEJ

W gablotach za szkłem, jak to w muzeum,
świeczniki szabasowe i na święto Chanuki
jarmułki, tałesy, miedziane rondle.

Niby panuje tu porządek,
a wszystko bez ładu i składu.

Niemrawo wędruje słońce po hebrajskich literach.

Piętro wyżej portrety okolicznej szlachty,
której też już nie ma.

Czy mogli przypuszczać, że ślady
ich istnienia znajdą schronienie
pod dachem żydowskiej bóżnicy?

INNA WIEDZA

Nie powiedziało jeszcze wszystkiego miasto.
Ani koziołek na wieży, ani zegar w bramie
w śmiałych gestach aktorów nocy.
Na Lubartowskiej przebiegł drogę kot,
zły błysk w zielonym fosforze.

Czytane kiedyś wspomnienia Żydówki
nie dają wyobrażenia ich domu,
wypchanych ciuchami szaf,
chałek na stole,
zapachu kiszonych jabłek,
smrodu wychodka w podwórku.

Na przedwojennej fotografii melamed,
przystojniak w czarnej kamizelce i białej koszuli.
Sześcioro dzieci w chederze,
głowy oparte o stół,
patrzą w naszą stronę.
Każde życie to więcej niż cały świat
i jeszcze inne szukanie wiedzy,
prawdziwej jak skrwawiona Biblia.

PRÓBA INTERPRETACJI SNU

Koszmar. Słowo to słyszę wyraźnie,
ale nie we własnym języku.

Icubo. Alptraum. Nightmare.

Czy to dlatego, że nie rozumiem języków stamtąd,
głosy strachu, bólu i upokorzenia docierają w przekładzie?

Trudno odróżnić Bejrut od Hajfy.

Bezrozumnie biegają i sapią gdzieś ludzie.

Twarze mężczyzn ryjowate, dziobate i rogate,

kobiety w ciężkich sukniach z rdzawą biżuterią we włosach.

Lebenstein mógłby być mistrzem ceremonii tego widowiska.

Sen, ciąg dalszy sztuki, jej początek, węzeł.

Po obudzeniu myśl o jego wystawie na Zamku w Lublinie.

I wtedy już na jawie boleśniej niż we śnie

dręczył mnie zły duch tego miejsca.

Burzenie żydowskiego miasta,

egzekucje w czasie wojny i po.

Nie wiem, co ma oznaczać tak straszne nawiedzenie.

Może jest pochwałą zwierzęcej natury

– udzielającej resztek ciepła,

zanim niepewne bytu ciała ludzi

opadną w chłód śmierci.

TATARY

Pośród drzew i zarośli płynie Bystrzyca.

O świecie wije się nad nią wąż mgły.

Czechowicza i Hartwiga przywołuję na świadków.

Mówią Tatary i odzywa się przeszłość mroczna
jak strachy na Lachy.

Choć było to dawno, pokonanym należy się współczucie.

Słońce wstaje nad blokami na wzgórz

i wraca o zachodzie odbite w wysokich oknach jak krew.

Po likwidacji getta tamtędy pędzono Żydów na Majdanek.

Podpalono ich miasto, nie odwracali się, nie mieli dokąd uciec,

szli w stronę ognia szalejącego w krematorium.

Dzieci z sierocińca postawiono pod skarpą i rozstrzelano.

Kobiety z osiedla, które potem tam powstało, słyszą

ich płacz wydobywający się z gęstwiny.

Próbuję opisać, co widać i czego nie widać z mego okna.

Dotykam ran krajobrazu, z którym zżyłem się,

lecz nie pogodziłem.

DO SACHY PECARICA

Wchodząc na kirkut, kończyliśmy rozmowę
o tłumaczeniu Tory na polski i czytaniu Dantego.
W jego języku mówili Twoi żydowscy przodkowie.
Jakie wiatry przygnały cię, rabbi, na słowiańskie równiny?

Podczas wykładu zauważyłeś, że pada śnieg
i trzeba pomyśleć o sąsiadach,
którzy są zbyt starzy, aby sobie z nim poradzić.
Troska zrodzona z rozmyślenia nad Torą
porusza najczulszą strunę Ewangelii.

Brnęliśmy w śniegu na wzgórzu,
gdzie stoją dwie macewy Salomona Lurii.
Dlaczego dwie, bo radość i ból?

Ocalałe kamienie bielsze niż śnieg,
a w dole otchłań bez kształtu i barwy
niezmiennie w każdej porze roku.
Tych, którzy zostali wymordowani,
nie zdołamy opłakać do skończenia świata.
W zadymce, w strzępach słów, w błyskach oczu
jawią się dwa miasta,
aby na chwilę krótką jak zimowy dzień
znaleźć schronienie w udręczonej duszy Jakuba.

W BRAMIE GRODZKIEJ

Opowiada Tomek Pietrasiewicz,
że przychodzi do Bramy bardzo wczesnie,
nawet przed świtem.
Ale jak pytać o tak intymne obcowanie z nieobecnymi.

Starówka we mgle listopada, błyszczą kamienie
pomiędzy świętym Michałem a synagogą,
przechodzą tędy w obydwu kierunkach ludzie.

Tyle fotografii, ale Miasto jest niewidzialne.
Nie zapadło się jak w legendach,
zostało zburzone, a mieszkańcy wymordowani.
Ci, którzy na nas patrzą, patrzą naszymi oczami.
Ci, którzy do nas mówią, mówią naszymi słowami.

Pijemy kawę w ciemnym wnętrzu przy Szerokiej 28.
Gdzie ta ulica? Chcemy, aby tu była,
dopóki rozumiemy ciszę *Poematu* Czechowicza.
Za wąskim oknem wiatr rozrzuca liście,
deszcz ukosem zacina o szybę,
nad filizanką obłoki, aureole i pętle.
Mówię, to właśnie to, to misterium, Jedna ziemia dwie świątynie.
Ocaleni i sprawiedliwi
(nieliczni ocaleni i nieliczni sprawiedliwi)
przynoszą światło i rozmawiają przez głośniki
ponad przepaściami i ponad epokami.

Dobrze, że pamięć to nie tylko wspomnienia.
Dobrze, że sztuka to nie tylko wizja i naśladowanie.
Dobrze, że ponad sztuką i ponad życiem dobro.

ZAŁĘK WŁADKA PANASA

Gdy wspominaliśmy go rok po odejściu,
odczułem jego obecność i dokuczliwy brak.

Pewnie go ucieszyła próba
odczytywania zdania poprzez inne zdanie.

Usłyszałem właśnie dwa cytaty:

„Zostaniesz tu”; „Jesteś tam, gdzie jesteś”.

Ruskie, łacińskie i żydowskie anioły
unoszą się nad Grodzką wysoko,
jak dymy gorące w mroźną noc.

Ile potrzeba języków,
aby sławić i sławić tajemnicę
w załku, co ciągle ucieka.

DO ANNY KAMIEŃSKIEJ

Jak zwracać się do umarłej –
szanowna i droga Pani
czy po prostu Anno?
20 lat po śmierci poetki czytam jej książki.
Pamiętam, jak chrząkał ksiądz Jaworowski,
katecheta przywoływany w wierszu o dwóch nieskończonościach.
Dziwił się, że chodzę do Unii, którą wiele lat po wojnie
uważał ciągle za szkołę dla dziewcząt.
Teraz pewnie znowu byłby zaskoczony,
że pojawia się w wierszu jak pająk z kąta.
Lubię stary dom pod rozłożystym bukiem,
poznałem sagę pokoleń i zawłości rodzinne.
Nie wiem, czy spotkaliśmy się w Lublinie, czy w Świdniku,
jestem czytelnikiem jednym z wielu.

W maju 1986 roku, kiedy wstępowałaś na wzgórze wiekuiste,
świat zamarł po wybuchu w Czarnobylu.
Nie wiedzieliśmy, że już kończy się epoka.
Wtedy właśnie wyjeżdżałem na długi pobyt w dolinie Renu,
gdzie przed najazdem barbarzyńców była granica świata.
Na wykłady z filozofii współczesnej jeździłem drogą
zbudowaną przez rzymskich żołnierzy.
Spotykałem emigrantów, ale sam czułem się
jak Janicjusz lub Kochanowski oswojony z wielością języków.
Nad Europą umacniał się słoneczny wyż Jana Pawła II.
Jak w horrorze, co wbrew regułom dobrze się kończy,

upadł komunizm. Na tle Alp piliśmy szampana
na wivat dla świata, który nadchodził.

Notatnik jest ważniejszy, niż myślał arbiter z Berkeley.
Poezja wyprzedziła doświadczenie religijne,
poszukiwałaś zmarłego męża, a przemówił Bóg Biblii.
Tak naprawdę dopiero w ciemności,
która świeci nad wszystkim, co przeżyliśmy,
możemy spotkać się, Anno.

DOBRY CZŁOWIEK

Pytanie o księdza Brzozowskiego
wprawiło mnie w zakłopotanie.
Jak opowiedzieć o jego życiu tym,
którzy o nim zaledwie słyszeli.

Najchętniej narysowałbym postać w zakolu ulicy,
jak idzie, unosząc na wietrze dzwon sutanny.
Albo jak kłania się, zdejmując czapkę z lichego futerka.
Staroświecka grzeczność budzi zdziwienie
jak jabłka pozostawione na drzewie dla ptaków.

Należał do tych, którym w dzieciństwie zabrano ojczyznę,
potem nie miał już nic
i dlatego pragnął dzielić się ze wszystkimi.

Przygarnął do domu uczniów, którym komuna rozwiązała szkołę
i mieszkali jak w kołchozie.

Kiedy nie było już Żydów, odkopywał spod trawy macewy.

Czczył Marszałka Piłsudskiego równie często jak świętych Pańskich.

Domyślam się, że aż do śmierci prowadził spór ze swym ojcem.
Nie chciał, aby syn był księdzem. Wreszcie powiedział:
bądź sobie, kim chcesz, bylebyś był dobrym człowiekiem.

MISTRZOWIE

Przyniosłem z księgarni Jaspersa *Von der Wahrheit*
Dzieło o prawdzie. Zdołał ukończyć tylko pierwszą część.
To znaczy ponad tysiąc stron. Stawiam je z dumą
obok dialogów, traktatów, listów, rozpraw, myśli, ksiąg
i książeczek. Rozległe królestwo filozofii i wielka bezradność.

Czerpałem pociechę z lektur.
Najchętniej słuchałem opowieści mistrzów,
którzy z opornym Platonem razem uczyli się od Sokratesa.

Nie było mnie tam, a przecież widzę.
Upalne lato przed wojną nad brzegiem Wisły,
nadzy chłopcy skaczą do wody. Nie wiedzą jeszcze,
do czego będą powołani. Dojrzewają owoce.
Lśni i pachnie zerwane jabłko,
lecz chłopiec przynosi je mamie.

Sofiści nie schodzą ze sceny. Nigdy nie zejść.
Nieustanny talk-show i show-business.
Może wszystko tylko biznes i szoł
i nie będzie już potrzeba uwodzicielskich słów,
zatroszczą się o to reflektory i scenografia,
której opinii należy przyznać władzę.
Wycofać się do Akademii w zaciszu drzew
i szukać ukojenia w odwiecznych prawdach geometrii.
Albo zaczynać ciągle od dwóch, od trzech słuchaczy.
Oni również mogą przystąpić do sofistów.
Chciałem skreślić słowo słuchacz, ale nie czynię tego,
ponieważ szkoła to kształcenie słuchu.

5 marca 2001 roku zapisałem:
Niezapomniany pozostaje spacer
w Ogrodach Watykańskich.
Niezapomniany?
Mój profesor, z którym latami wędrowałem
meandrami spraw ludzkich,
utracił pamięć.

Chodziliśmy po pagórkach.
Kopuła św. Piotra zrównywała się
z naszymi głowami,
potem znowu się wznosiła,
chowwała za piniami
i odsłaniała w prześwitach.

Tak zapamiętałem tamto popołudnie,
słońce kładło szyfr na trawniku,
nie mam pewności co do szczegółów.

OKRUCHY

Śnił mi się dwa razy po swej śmierci.

Dał mi kartkę i powiedział: to ważne.
Próbuję przeczytać, ale pismo jest nieczytelne.

Rok później podobny sen.
Poprawiamy jakiś tekst,
wykreśla całe strony.

Nigdy nie pisaliśmy
wspólnie z arcybiskupem Życińskim,
dlaczego teraz podsuwa mi
okruchy liter stamtąd?

ZARAZ POTEŁ

Ostatni raz widziałem ojca w szpitalu.
Leżał blady jak starożytna rzeźba.
Wróciłem do domu, nie myślałem,
że to stanie się tamtej nocy.

Obudziło mnie drżenie szyb.
Okna zamknięte,
ani burzy, ani wiatru.

Cóż znaczą dla niego
bariery czterech ścian,
pięciu zmysłów
i jednego rozumu.

PORTRET MAMY

Budowaliście dla nas dom. Było to niedawno.
Ojciec w zaświatach, a Ty czekasz jak otwarta brama.

Fotografowałem Cię wśród malw z wnukami,
ale klisza nie pokazuje tego, co widzę.
Nie jesteś cała wtopiona w krajobraz.
Wpatruję się w Twoją ciemną twarz i ręce.
Ukryło się w Tobie światło,
głębiej niż ja byłem kiedyś ukryty.

Przed wschodem słońca usłyszałem śpiew ptaków.
Czy to wiosna? Nie przestają poruszać powroty.
W natarciu zniszczalne bóstwo traw, liści i kwiatów.
Czuję się starszy i młodszy, ten sam i inny.
Po drabinach zdziwienia biegają w górę i w dół
aniołowie nadziei i kresu.

OKTOBERFEST

Prominenci i beczki piwa jadą bryczkami
ciągnionymi przez konie ubrane we wstążki.
Kapele z trąbkami i piszczałkami idą w pochodzie.
Brzuchaci w skórzanych spodniach na szelkach,
białe koszule zapięte guzikami z rogu,
wełniane skarpety przykrywają łydki.
Po barwach na sztandarach i pelerynach poznają,
że przybyli ze średniowiecza i z siedemnastego wieku.
Co mnie ciągnie do ich obrzędu? Ciekawość.
Religijność. Ochota na piwo. Bycie w tłumie.
W gruncie rzeczy do wielu należę obediencji.

Przy długim stole w Bawarii zwołuję mych przodków
na dziady wedle przykazania poety z ich okolic.
Napitku i jadła wystarczy dla mnogich pokoleń.
Jak wyglądały ich święta? Na kaziuki do Wilna.
W Wielkanoc kaczanie jajek i bicie dziewczyn
baziami po nogach. To ze wspomnień ojca.
Na ocalałych fotografiach doszukiwałem się mych rysów.
A ci bezimienni i ci bez portretów,
do których potomstwa się zaliczam,
jakie nosili stroje i jakie były ich nadzieje?
Chcę sobie wyobrazić protoplastę kubek w kubek
podobnego do mnie. Pachną lipy na Litwie,
na stole ogórki z miodem. Jest szczęśliwy,
bo niedziela i byli na Mszy.

Mało wie o świecie, który jest i który będzie.
W sadzie żona z dziećmi. Martwi się,
co z nich wyrosnie i jak będą sobie radzić.
Zmartwienie jego jest umiarkowane,
bo spokojny o urodzaj pól i wydajność pasiek.
A jeśli trochę martwi się, to znaczy, że myślą obejmuje
również i mnie, nieznanego swojego potomka,
za co mu wdzięczność. Widzi albo i nie widzi
nasze spotkanie w ciemnych ogrodach wiersza
i u wylotu ulic miast, do których nigdy nie trafił.
Pomyśleć gotów, że piwo miesza czasy i miejsca,
a to przecież jesień już czterdziesta w życiu.

OCZYSZCZENIE

Ten zachwył nad światem
i przebaczenie zła
przyszło nagle z wierszy Janusza,
które Janek wydrukował w sepji
z fotografiami traw i gałęzi.

Sycę się nimi jak opłatkiem.
Nie zatrzymam ich w sobie.

Wychodzę na balkon, gdzie płonie szatwia.
Szum ulicy zmieszany z ostinato dzwonów.
Jaki wysoki lot języków nad wieżami.

Świat za oknem to miasto,
drabiny świateł, wieże obecności,
bliżej ulica niepatetycznie pusta.
W drzwiach zasnął klucz.
Ja też jestem miastem, światem, sobą.
Rozbudowuje się pamięć, narastają
piętra marzeń. Wznoszę ręce,
wyciągnięte anteny szczęścia i porażek.

KARTOGRAFIA ONIRYCZNA

Sławomir Jacek Żurek

*Było mi żal, że we śnie tak swobodnym
nie zobaczyłem więcej niż na jawie.*

Ks. Alfred Marek Wierzbicki,
Podróż do Czarnolasu

Autoportret z miastem to wybór wierszy pisanych w ciągu ponad trzydziestu lat (1981–2012) przez ks. Alfreda Marka Wierzbickiego – filozofa, publicystę, twórcę znanego i uznanego (autora ośmiu książek poetyckich). Zawsze, gdy bierze się do ręki antologię tekstów, w sposób naturalny rodzi się pytanie o zasadę ich doboru. W przypadku tego tomu wiele wyjaśnia już sam tytuł, sugerujący spotkanie biografii artystycznej z geopoetyką.

Poeta lokalizuje swój życiorys zarówno w konkretnych miejscach (o czym później), jak i pomiędzy konkretnymi wydarzeniami historycznymi: Czerwcem '56, „gdy nie obeschła jeszcze krew odciętych / rąk za wzniesienie ich przeciw ludowej władzy”, a zmierzchem epoki gomułkowskiej w roku 1970 – „w grudniu strzelano do robotników” – i stanem wojennym 1981 roku: „potem był jeszcze jeden grudzień, kiedy strzelano” (*Próba życiorysu*). Ma przy tym świadomość przynależności do szczególnej generacji (*Szczęśliwe pokolenie*), żyjącej w rytmie przełomów dziejowych. W poezji tej odległość czasowa pomiędzy „dzieciństwem i krwawym potem” jest jak dystans pomiędzy „kulkami z oliwkowego drewna” w różańcu (*Pełnia*) – wszystko tak bardzo blisko siebie i blisko wieczności.

Wyjątkowo autobiograficzny (i jednocześnie przestrzenny) jest liryk *Pierwszy dzień*, opowiadający o początkowych wrażeniach związanych z powołaniem kapłańskim. Jest ono postrzegane jako nowe narodzenie, które dokonało się jesienią, gdy „kolczaste kasztany leżały przed bramą” lubelskiego seminarium. Czytając wiersz, przemierza się wraz z jego autorem nie tylko przestrzeń długich

korytarzy, lecz także czas rozmyty w zamglonych lustrach wiszących w seminaryjnej łazience. To przemieszczanie się jest określane jednocześnie w kategoriach etycznych („zakochanie”), semiotycznych („tajemniczy szyfr”) i niemalże mistagogicznych („zagadka na całe życie”). W innym zaś wierszu – *Spotkanie* – zostało nazwane „podróżą”, podczas której wędrowcy są „wszędzie u siebie i wszędzie bezdomni”. I z tej właśnie perspektywy autor stawia pytanie: „Czy wiedzieliśmy, czym będzie powołanie?”. Wierzbicki, pisząc o początkach swego kapłaństwa, przywołuje melancholijne obrazy sprzed trzydziestu lat, sceny, które rozgrywały się w Lublinie za wysokim murem posesji dawnego klasztoru ojców Misjonarzy przy ulicy Wyszyńskiego:

***Młodzi chłopcy za murem na wzgórzu
czytaliśmy Miłosza i Redemptor hominis.
Uczyliśmy się obcych słów i liturgii.
Dość wiele i za mało.
Spotkanie***

Historię powołania odtwarza też *Krótki komentarz do Ewangelii św. Jana*, w którym mowa o jednej z wielu „niedziel dzieciństwa”, o księdzu Franciszku Jakubczyku, o „udręce buntu”, „powrocie do źródeł” i „stawianiu się uczniem”. To rejestr fascynacji intelektualnych, szczególnie twórczością Vaclava Havla i Leszka Kołakowskiego.

Czytając wiersze Alfreda Marka Wierzbickiego, można ułożyć poetycką mapę. Nie obowiązuje jednak na niej porządek *stricte* kartograficzny, gdyż Innsbruck

i Werona leżą obok Czarnolasu (*Podróż do Czarnolasu*), nieopodal są też Monachium (*Spotkanie*) i Alpy (*Do Anny Kamińskiej*), obok Bejrutu – Hajfa (*Próba interpretacji snu*), a Litwa i Wilno (*Oktoberfest*) sąsiadują z Watykanem (**5 marca 2001 roku zapisałem...). (W *Próbie* życiorysu perspektywa przestrzenna rozszerza się dodatkowo o Wietnam i jego „okrucieństwo wojny”, także Indochiny i „współczucie sierot”). To, co spaja wszystkie te miejsca, to ich znaczenie w życiu poety oraz szczególna ranga kulturowa.

Jednak *axis mundi* na mapie ks. Wierzbickiego staje się jego rodzinne miasto – Lublin, które występuje w tych wierszach najczęściej. Co wewnątrz tej przestrzeni miejskiej jest dla poety najważniejsze? Zaraz obok wspomnianej już posesji przy ulicy Wyszyńskiego – Katolicki Uniwersytet Lubelski, na którym niegdyś słuchał wykładów, a teraz je sam wygłasza – „wciąż w tym samym miejscu” (*W tym samym miejscu*). W całym tomie opisywany jest proces poruszania się wewnątrz tego miasta, niekiedy stający się wręcz tropem poetyckim – „Idę w bezimiennej / ciszy i wspominam spacer w Lublinie” (*Spacer w Chur*). Lubelskie spacer wytycza trasa od seminarium w dół – w kierunku Bystrzycy i lubelskich plantów ciągnących się wzdłuż niej:

Skręcam nad rzekę.

***Zbyt płytka i nie kusi samobójców,
nie odbija wspaniałości ze wzgórza,
płyynie obok.***

Rzeka

Wiersze rejestrujące wrażenia z przemieszczania się ulicami Lublina są pełne naturalistycznych scenek, np. z życia mieszkańców nadrzecznej dzielnicy (*Szukanie wyjścia*). Bystrzyca zajmuje zresztą szczególne miejsce w omawianym tomiku – płynie „pośród drzew i zarośli” lub „wije się” – o świcie zaś unosi się nad nią „wąż mgły” (*Tary*). Jednak w tym samym liryku jest świadkiem mordu na żydowskich dzieciach.

Wiersze Wierzbickiego są pełne pięknych pejzaży lubelskich. W *Bramie Grodzkiej* mamy namalowaną wido-kówkę ulicy centralnego traktu Starego Miasta:

***Starówka we mgle listopada, błyszczą kamienie
pomiędzy świętym Michałem a synagogą,
przechodzą tędy w obydwu kierunkach ludzie.***

Poeta zagląda na Szeroką 28 (historyczny adres Widzącego z Lublina), do legendarnej, nieistniejącej już dziś kawiarni artystycznej, miejsca spotkań lubelskiej bohemy, gdzie wraz z dyrektorem Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” pijął „kawę w ciemnym wnętrzu”, i pyta: „Gdzie ta ulica? Chcemy, aby tu była, / dopóki rozumiemy ciszę *Poematu* Czechowicza”. Klimat tego miejsca przywołuje na myśl słynną wielokulturowość Lublina:

***Ruskie, łacińskie i żydowskie anioły
unoszą się nad Grodzką wysoko,
jak dymy gorące w mroźną noc.
Ile potrzeba języków,***

***aby sławić i sławić tajemnicę
w zaułku, co ciągle ucieka.***

Zaulek Władysława Panasa

W *Innej wiedzy* zwraca uwagę Lublin pełen znaków symbolicznych, mocno zakodowanych w pamięci i świadomości jego mieszkańców. Są to „koziółek na wieży” i „zegar w bramie” – dwa wyznaczniki czasu: legendarnego i historycznego. Wierzbicki, poruszając się między tymi czasami, wędruje ulicą Lubartowską, rojącą się niegdyś od żydowskich mieszkańców, po których dziś pozostały tylko spisane wspomnienia, niedające „wyobrażenia ich domu, / wypchanych ciuchami szaf, / chałek na stole, / zapachu kiszonych jabłek, / smrodu wychodka w podwórku”. Przywołanie znanego przedwojennego zdjęcia nauczyciela i dzieci w chederze wstrząsa prostotą trawestowanego talmudycznego stwierdzenia:

***Każde życie to więcej niż cały świat
i jeszcze inne szukanie wiedzy,
prawdziwej jak skrwawiona Biblia.***

Inna wiedza

Wierzbicki pisze też o lubelskim Zamku i otaczającej go niegdyś Atlantydzie lubelskiego getta, dziś „niewidzialnego miasta”, które „nie zapadło się jak w legendach”, lecz „zostało zburzone”, a jego „mieszkańcy wymordowani” (*W Bramie Grodzkiej*). Obiekty te umieszcza w przestrzeni swoich wierszy, gdyż „dręczył” go „zły duch tego

miejsca – Burzenie żydowskiego miasta, / egzekucje w czasie wojny i po” (*Próba interpretacji snu*). Zagłada żydowskich mieszkańców Lubelszczyzny na kartach *Autoportretu z miastem* powraca bardzo często, m.in. w opisie pędzenia ich po likwidacji getta do obozu na Majdanku: „podpalono ich miasto, nie odwracali się, nie mieli dokąd uciec, / szli w stronę ognia szalejącego w krematorium”, czy mordu na dzieciach z sierocińca, które „postawiono pod skarpą i rozstrzelano” (*Tatary*). Gdzie indziej znów Wierzbicki przywołuje Nieobecnych poprzez to, co pozostało po nich w muzealnych „gablotech za szkłem”, a więc: „świeczniki szabasowe i na święto Chanuki / jarmułki, tałesy, miedziane rondle”. To nie są zwykłe zbiory, dlatego „niby panuje tu porządek, a wszystko bez ładu i składu” (*Synagoga w Łęcznej*).

Ważnym lubelskim wątkiem w biografii księdza Wierzbickiego jest dialog chrześcijańsko-żydowski. Pojawia się on w liryku *Do Sachy Pecarica*, który stanowi opis spotkania z rabinem na cmentarzu żydowskim:

***Wchodząc na kirkut, kończyliśmy rozmowę
o tłumaczeniu Tory na polski i czytaniu Dantego.***

Zapisane w liryku zdarzenie najpełniej realizuje dialog międzyreligijny z judaizmem, w którym „troska zrodzona z rozmyślenia nad Torą / porusza najczulszą strunę Ewangelii”. Przy tej okazji w pełni można odkryć – po raz kolejny – wielokulturowy charakter Lublina:

***W zadymce, w strzępach słów, w błyskach oczu
jawią się dwa miasta,
aby na chwilę krótką jak zimowy dzień
znaleźć schronienie w udręczonej duszy Jakuba.***
Do Sachy Pecarica

Lublin to, w rozumieniu Wierzbickiego, także konkretni ludzie związani z tym miejscem, to istna galeria postaci: Jan Lebenstein – „po obudzeniu myśl o jego wystawie na Zamku w Lublinie” (*Próba interpretacji snu*); Józef Czechowicz (*Tatary, W Bramie Grodzkiej*); Edward Hartwig, których „przywołuje na świadków” (*Tatary*); Tomasz Pietrasiewicz, „przychodzący do Bramy bardzo wcześnie, / nawet przed świtem (*W Bramie Grodzkiej*); Władysław Panas (*Zaulek Władka Panasa*); Anna Kamińska (*Do Anny Kamińskiej*); ks. Mieczysław Brzozowski (*Dobry człowiek*); ks. Tadeusz Styczeń (*Mistrzowie*) czy wreszcie abp Józef Życiński (*Okruczy*).

Spośród nich trzy osoby wydają się tu najważniejsze. Pierwsza to ks. Brzozowski – „postać w zakolu ulicy”, która idzie, „unosząc na wietrze dzwon sutanny”, społecznik o dobrym sercu, przygarniający „do domu uczniów, którym komuna rozwiązała szkołę”, dawny obywatel Drugiej Rzeczypospolitej, który, „kiedy nie było już Żydów, odkopywał spod trawy macewy” i „czcił Marszałka Piłsudskiego równie często jak świętych Pańskich” (*Dobry człowiek*). Druga osoba to ks. Tadeusz Styczeń – obywatel „królestwa filozofii i wielkiej bezradności” (*Mistrzowie*), przeżywający dotkliwie utratę pamięci (***) 5 marca 2001 roku

zapisalem...); trzecia – abp Józef Życiński, w wierszu Okruchy wspomniany bardzo osobiście:

Śnił mi się dwa razy po swej śmierci.

Dał mi kartkę i powiedział: to ważne.

Próbuję przeczytać, ale pismo jest nieczytelne.

Rok później podobny sen.

Poprawiamy jakiś tekst,

wykreśla całe strony.

I wreszcie pytanie dręczące piszącego już na jawie: „dlaczego teraz podsuwa mi / okruchy liter stamtąd?”, skoro „nigdy nie pisaliśmy wspólnie”?

Ważnym motywem w *Autobiografii z miastem* są też antenaci lubelskiego poety:

Przy długim stole w Bawarii zwołużę mych przodków na dziady wedle przykazania poety z ich okolic
Oktoberfest

Bohaterami wierszy są więc babcia Urszula (*Pociągi*), dziadkowie: Hieronim (*Pociągi*) oraz Ignacy (*Fotografia rodzinna*), pradziadek Romuald (*Domostwo*), a także ojciec (*Zaraz potem*) i matka, której portret liryczny budzi mimowolne skojarzenia z ikoną jasnogórską: „Wpatruję się w Twoją ciemną twarz i ręce. / Ukryło się w Tobie światło, / głębiej niż ja byłem kiedyś ukryty” (*Portret Mamy*).

*

Ksiądz Alfred Marek Wierzbicki to „wizjoner podziemnych rzek, / płynących głębiej niż posadzki miasta” (*Spotkanie*), a nowy wybór jego wierszy stanowi wraz z nim swoistą jedność: „Świat za oknem to miasto” – „Ja też jestem miastem, światem, sobą” (***)*Świat za oknem...*). Czytając te liryczne zapisy, poznaje się jednocześnie ich autora, Lublin, mieszkańców tego miasta i – paradoksalnie – cały świat. To porządek jakby żywcem wzięty z *Goga i Magoga* Martina Bubera, w którym stwierdza się, że ktoś, kto nie odwiedził Lublina, nic nie wie o życiu. Wprawdzie Wierzbicki wielokrotnie zaznacza, iż jest to tylko kartografia oniryczna, lecz tak naprawdę: „Jaka różnica we śnie czy na jawie oglądać / mapy dawnych podróży”? Przyjęcie takiej strategii pozwala bowiem na to, by „jednoczyły się przestrzenie” i „powracał czas” (*Podróż do Czarnolasu*).



korekta

Krzysztof Gajowiak

**opracowanie graficzne
i typograficzne**

Małgorzata Rybicka

druk i oprawa

Petit S.K. Lublin

nakład

200 egzemplarzy

ISBN 978-83-61064-52-7